

Nr. 11. — Rok XXIII.

Dnia 2 (15) Marca 1902 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Mali Syngalezi (str. 89).

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).



Przybywający do obozu państwo Zabrzescy, z dziećmi i profesorem, ustawili się tak, że w tych samych grupach, w jakich szli, znaleźli się i zatrzymali przy ognisku. Z jednej jego strony stała tedy pani Zabrzescza z Jańciem; obok pan Chlewiatko z chłopcami starszymi; a dalej dopiero pan Zabrzescki pod rękę z Zosią, przy nich Alusia.

Cyganki ciągle gadały prędko i biegle, jakby to była lekcyca wydawana po niezliczone razy, cyganięta zbliżyły się coraz bardziej i zaglądały w oczy dzieciom; stara, wychudzona wiedźma, widząc, jak małe wrażenie czyni na profesora, przeniosła się na drugi koniec, dostrzegłszy nakoniec piękność Zosi, na którą padł promyk słońca.

— Tej paniace z białej rączki muszę wywróżyć, co ją za przyszłość od Pana Boga czeka! — mówiła, wyciągając czarną, wyschniętą rękę. — Oj, po świecie dużo jest takich panierek, co mają ciężką biedę za młodu, a na przyszłość znaczy im się szczęście i bogactwo i długie życie... są znowu takie co mają na ręce wypisaną śmierć albo nie-szczęście...

Zosia była trochę przerażona, nie cyganką, lecz obawą tego co jej cyganka powiedzieć może. Pan Zabrzescki poczuł, że ramię Zosi pod jego ramieniem lekko zadrżało.

— Ja i na rękę nawet spojrzeć nie potrzebuję a widzę, że panienka jest dobra. Ja widzę serce panienki jak na dłoni. O, to serce ze szczerego złota! Panienka lubi i państwo co są jej rodzicami i tych braci i tę siostrzyczkę. Widzę nawet, że panienka jeszcze kogoś lubi...

Rzuciła spojrzenie znaczące na pana Zabrzesckiego, który rzekł do Zosi po francusku:

— Daj jej rękę. Zobaczymy, jakie ci tu zaczniesz mówić brednie. Widzę, że jej trochę wierzysz i drżysz przed przyszłością, którą ci ona odsłoni.

Zosia podała rękę, cyganka zaś prędko mówiła:

— Panienka ma przed sobą długie życie, widzę, że więcej niż sześćdziesiąt lat, ale panienka nie umrze swoją śmiercią...

— Tylko cudzą? — przerwał Zdziś.

— ...Panienka utonie na wielkim morzu, a przedtem tyle będzie strachu i tyle w koło lamentu, że panienka odpokutuje przez tę chwilę wszystkie grzechy i pójdzie prosto do nieba. Panienka niedługo pójdzie za męża, a choć on będzie dużo starszy od panienki, będzie bardzo dobry dla panienki. Nigdy swojej żoneczki bić nie będzie, ani palcem jej nie tknie, a będzie jej kupował śliczne sukienki i będzie ją woził po różnych krajach i miastach... a dzieciaków będzie dwoje, syn i córeczka:

Spojrzała znowu znacząco na pana Zabrzesciego.

— A czy moja narzeczona będzie mnie lubiła? — zapytał pan Zabrzescki.

— Z początku, to się nie mogła przyzwyczaić, ale potem poznała, że starszy, spokojniejszy człowiek lepszy od młodzika, i że majątek dużo znaczy...

Rzuciła okiem na grubego, złotego łańcuszek od zegarka, który nosił pan Zabrzescki.

Dzieci zanosili się od śmiechu i byłyby wybuchnęły słowami, wyprowadzającymi cygankę z błędu, ale pani Zabrzescza, której chodziło o to by się dzieci przekonaly, że wróżby cyganek, do których niektórzy, nawet wykształ-

ceni ludzie przywiązują wagę, są prostym oszustwem, nakazała im milczenie.

— Ja to mojej narzeczonej często mówię, że starszy człowiek lepiej żonę szanować potrafi niż młodzieniaszek, a jak jest bogaty...

— Cygany najlepiej wiedzą, co bogactwo znaczy — zawołała wróżka — bo cygany są biedne! Z kąta w kąt włóczyć się muszą, a często nie mają co do garnka włożyć! Bogactwo jest dobra rzecz! Panienka będzie miała i pierścioneczki na tych ślicznych paluszkach i łańcuchy na szyję, i szpilki złote do głowy... A rodzice cieszyć się będą! Będzie się cieszyła i mamusia, będzie się cieszył tatuś.

Wskazała ręką na profesora.

Wszystkie dzieci, oprócz Jańcia, który nie rozumiał o co chodziło, zanosili się od śmiechu. Pan Zabrzescki rzekł poważnie:

— Proszę się nie śmiać ze mnie i z mojej narzeczonej! Chcemy jeszcze więcej wróżb posłuchać, ale to później, jak wyśmiewających się dzieci nie będzie. A teraz, wróżko, może innym osobom z ręki przyszłość wyczytasz. Rodzicom mojej narzeczonej pierwszeństwo się należy.

Cyganka zbliżyła się do profesora Chlewiatki.

— Cygany w pańskim lesie oboz sobie rozłożyli i ogień pańskim drzewom sobie rozniecili, a to wielkie szczęście przynosi! Za cyganami szczęście chodzi. I wynieśli go oni z sobą z daleka, z takich krajów, gdzie nigdy niema ani śniegu, ani mrozu, i roznoszą je teraz po tutejszej ziemi. Pan cyganów nie wypędza, jeszcze pan przywiózł żonę i dzieci do ich obozu i za to Pan Bóg ześle na dom pana wielkie szczęście!

Ujęła rękę profesora i spojrzawszy na nią mówiła prędko i płynnie:

— Pan się doczeka pociechy z synów i córek. Jeden syn ożeni się z księżniczką, a drugi będzie nosił na pierśsiach gwiazdy i order. Trzeci będzie biskupem. Jedna córka pójdzie za bogatego i takiego co ma doświadczenie, bo trochę siwych włosów, to znaczy doświadczenie, druga pójdzie za generała!

— Pani generałowa! — rzekł Zdziś, kłaniając się nisko Alusi.

— Pan będzie żył sto lat i umrze pan spokojnie, pijąc kawę.

— Kiedy pan nie cierpi kawy i nigdy jej nie pije! — zawołał Zdziś, który języka utrzymać nie mógł.

— Może jeszcze kawę polubię! — rzekł pan Chlewiatko dobrodusznie.

— Pan dokupi drugą wieś — trzepała cyganka — i wszystkie dzieci pan wyposaży, a na grobie żony postawi kościół.

— No, to już wiem wszystko, co mię czeka — ozwał się profesor, cofając rękę.

Cyganka zwróciła się do pani Zabrzesckiej, która pomimo swojego zwykłego smutku uśmiechała się i była prawie rozbawiona. Swoją niegdyś pulchną, dziś wymizowaną rękę podała cygance, która baczenie spojrzała w jej oczy.

— Pani bardzo kocha swego męża — zaczęła cyganka.

— To wielka prawda — rzekła, śmiejąc się pani Zabrzescza.

— Ale pani nie była szczęśliwa! Oczy takich matek, co traciły dzieci, inaczej wyglądają i inaczej patrzą niż oczy tych, co dzieci nie traciły!

Tu stara cyganka westchnęła, głos urwał się jej w gardle, załkała cicho, potem wybuchnęła nagłym krzykiem i przekleństwami.

— Ażeby oni w piekle przez całą wieczność i przez sto wieczności gorzeli ci, co mi mojego jedynaka, mojego Janusia...

Stary cygan, stojący z boku, może mąż wróżki, tupnął nogą z gniewem i zaczął coś po cygańsku głośno, z iskrzącymi oczami mówić. Cyganka uspokoiła się i znowu wzięwszy rękę pani Zabrzesckiej trzepała, jakby wykuta lekcycę.

— Pani będzie żyła długo, ale pani umrze na pięć lat przed mężem. Wnuków będzie pani miała jedenaścioro, ale z jedną synową będzie się pani kłóciła. Będzie ona taka słodka i tak się będzie umiała łąsić, jak kot, ale pa-zury będzie miała dobre i matce mężowskiej będzie miała ochotę oczy wydrapać i mężowi sadła wrzącego za skórę zaleje, ale mąż ją będzie kochał.

— O, żeby mi ona matce jedno słowo niemiłe powiedziała, to jabym ją z domu wygnał, albo jabym ją do lochu zamknął! — zawołał Zdziś, który widocznie na swój rachunek brał tę niedobrą synowę.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Zdziś się nagle uspokoił i rzekł:

— A to może będzie Jańciowa, bo jabym takiej nie kochał!

— A może Józiowa? — zawołała Alusia, a wszystkie dzieci spojrzały na Józia.

— Józio będzie biskupem! — rzekł Zdziś — tylko nie wiemy jeszcze, czy dyecezyalnym, czy *in partibus infidelium*.

Cyganka patrzyła bacznie i przenikliwie na wszystkie dzieci, a potem mówiła znowu prędko:

— Ale zięciów to będzie pani lubiła i nijakiej sprze-czki z zięciami nie będzie, bo z mężczyznami zawsze łatwiej niż z kobietami, i jak się która zła uda, to tej złości ani miotłą wymieść, ani furą wywieźć, ani z armaty wystrzelić, ani workiem wynieść... i niema tak głębokiego dołu, w który-by się dała zagrzebać, ani tak wysokiej wieży z którejby nie zlazła. A nie dobijesz złości jej ani siekierą, ani młotem; ani ją otrujesz trucizną, ani jej utopisz w wodzie najbystrzej-szej, ani jej spalisz w ogniu najgorętszym. Ma ona takie zęby, które odrastają choćbyś je po sto razy wyrwał i taki język, przy którym język żmii jest językiem — gołębia...

Wschodnia wyobraźnia unosiła widocznie coraz dalej cygankę, która byłaby mówiła jeszcze, gdyby Zdziś nie był przerwał:

— To taką złość będzie miała Jańciowa!

— A jak ci taka kobieta na drodze stanie — mówiła cyganka, już teraz ku Zdzisiowi zwrócona — to lepiej, żebyś się lepiej z najstarszym dyabłem spotkał.

— No, to mi wróćcie! — rzekł Zdziś, podając rękę.

— Panicz nie ma mleka w żyłach — mówiła cyganka — ale prawdziwą krew żywą i gorącą. Panicz nie jest swój-ski ptak, ale panicz jest sokół. Panicz jak kogo lubi, toby się panicz za niego dał w drobne kawałki pokrajać. Na sieczkę dałby się panicz posiekać!... Ale jak kto paniczowi niemiły, to ci się grzbiet na niego jeży i rzuciłbyś się na niego jak wilk! Jak cię ręka kochana pogłaszcze, to pod nią jest wełna baranka, ale ta wełna zaraz się na twardą szczecinę przerabia, jak poczuje na sobie rękę niemiłego człowieka. Panicz będzie na piersiach nosił gwiazdy i orde-ry. A jak panicz będzie przejeżdżał konno przez ulice mia-sta, to wszystkie czapki i wszystkie kapelusze będą nie na głowach, ale w rękę przechodniów, a wszystkie głowy się będą kłaniały, a wszystkie usta będą wymawiały imię panicza.

Zdzisiowi policzki zaczerwieniły się, z oczu strzelały iskry zadowolenia.

— A panicz będzie na wszystkich patrzył dumnie, a jak panicz na swej drodze spotka biednych cyganów, to sobie przypomni starą cygankę, która wszystko paniczowi przepowiedziała i rzuci panicz talara albo dukata. A jak panicz będzie jechał w karecie, z bratem biskupem, to lu-dzie będą mówili: „szczęśliwa ta matka, co takich dwóch synów wydała!”

— O, to już Jańcio nie będzie niczem znakomitem! — zawołała Alusia. — Biedny Jańcio i żonę będzie miał sekutnicę...

(d. c. n.)

Narcyza Żmichowska (Gabryela).

Wielką ludzie rozgłośni za życia, którzy jednak nie zosta-wiają trwałego wspomnienia po sobie. Jeśli zasłużyli się jaką pracą, nazwiska ich zapisuje we właściwym dziale historya literatury, sztuki lub dobroczynności i na tem koniec.

Są znów inni, którzy wryli się tak głęboko w sercach ludzkich, że nawet czas nie zdoła zagładzić ich pamięci. Żyją oni w tych sercach i myślach, w których zostawili naj-lepszą część swej istoty, część dla nich przechowuje się nie tylko w martwych literach, ale w gorących uczuciach, które przechodzą tradycyjnie z rodziców na dzieci i trwać będą w długie pokolenia.

Do takich uprzywilejowanych postaci między innymi należały: Hofmanowa, Jachowicz i nigdy niezapomnia-na Żmichowska, poetka, powieściopisarka, nauczycielka, zmarła przed dwudziestu pięciu laty.

Smutną rocznicę święciliśmy w ubiegłym roku i chcemy pomócić o niej z czcicielkami naszymi, którzy może nie wszyscy o niej słyszeli.

Żmichowska urodziła się w r. 1819 w podlaskiem. Była najmłodszą z dziewięciorga rodzeństwa. Miała trzech braci, Erazma, Hijacenta, Jana i pięć sióstr: Wiktoryę, Kornelię, Lilję, Hortensyę, Wandę. Matka odumarała Nar-cyzę w kolebce, dziecię nie pamiętało jej więc, ale odzie-dziczyło bujną wyobraźnię i poetyczne usposobienie tej matki, które sprawiło, że dzieciom swym dawała najczę-ściej wyszukane imiona, kwiatów lub bohaterów literackich, którzy ją zajęli.

Pierwsze dzieciństwo spędziła Narcyza w domu stry-jenki Tekli. Ta widocznie musiała jej zastępować matkę, bo dorósłszy w swoich pismach i listach zawsze odzywała się o niej z miłością, nawet z uwielbieniem. Nie musiała więc odczuwać goryczy sieroctwa, poczucie to opanowało ją do-piero później, gdy z łona rodziny poszła pomiędzy ludzi i musiała pracować na chleb powszedni jako nauczycielka, często w domach obcych, które nie zawsze podzielały jej zasady i pojęcia.

Ośmioletniem dzieckiem oddana została na pensję, do najznakomitszego ówczesnego zakładu pani Zuzanny Wilczyńskiej, którą opisała w ostatniej swej powieści. „Czy to powieść,” pisanej już na łożu boleści, i którą śmierć do-kończyć jej nie pozwoliła.

Pani Wilczyńska zapisała się nazawsze w dziejach na-szego szkolnictwa. Mała Narcyza więc dostała się w do-bre ręce, odebrała najlepsze w owych czasach wychowanie i wykształcenie, a we dwa lata po ukończeniu pensji dosta-ła miejsce nauczycielki u hrabiów Zamoyskich i wyjechała z nimi do Paryża.

Do przyjęcia tych obowiązków skłoniła głównie mło-dziutką dziewczynę chęć widzenia się z bratem Erazmem, który przebywał we Francji.

Z tym bratem właśnie najczulsze węzły łączyły Nar-cyzę; tęskniła za nim, marzeniem jej serca było zobaczyć go znowu a uczucia jej były tak gorące, iż dla spełnienia te-go marzenia przyjęła bez wahania ofiarowane sobie miejsce, bo dawało jej do tego niespodziewaną sposobność.

W owych czasach dalekie podróże były niezmiernie uciążliwe i kosztowne. Narcyza nie miała majątku, znaj-dowała wprawdzie opiekę i przytułek w domach krewnych, siostr zameżnych, ale podróż do Francji przносиła, o wiele środki jej rodziny więc nie mogła nawet o niej marzyć.

Gdy nie było kolei, takie podróże przedsiębrali tylko ludzie bardzo bogaci, nawet do wód zagranicznych wybie-rano się tylko w razach istotnej potrzeby. Podróżowano pocztowymi końmi lub dyliżansami, czasem nawet własnym powozem i końmi z Jackiem lub Bartkiem na koźle, z popa-sami, noclegami, zatrzymywano się na odpoczynki w dni gorące, a wszystko to kosztowało niemało pieniędzy.

Zapewne poznawano daleko lepiej zwiedzane kraje, był czas przypatrzeć się każdej rzeczy, które teraz widzimy tylko przelotem z okna wagonu, ale też za to bardzo mało kto zagranicę wyjeżdżał, i Zmichowska nie byłaby widziała się z bratem, gdyby nie ta niespodziana propozycja nauczycielstwa.

Zawdzięczała ją pani Wilczyńskiej, która tę najlepszą swoją uczennicę ceniła i kochała.

Wybór jej był pod wielu względami najlepszy, Zmichowska nie tylko chlubnie ukończyła nauki odpowiednie ówczesnemu poziomowi i wymaganiom, miała charakter szlachetny, grząc miłość wszystkiego co znaczne i wielkie a przytem obdarzona była niezmiernym talentem, który okazywał się w samostnych poglądach, w oryginalnem zapatrywaniu się na stosunki, w niepodległości pojęć. Lotny jej umysł z trudnością mógł się przystosować do suchego i zmuźnego nauczycielstwa. Jednakże, potrafiła się do niego nagiąć, bo miała w sercu gorącą miłość dla dzieci, które chętnie zbierała koło siebie, marząc zawsze, iż z najmniej podatnych, wykształci znaczne i pożyteczne kobiety, które nie tylko w domowych ścianach ale i poza niemi roztoczą swój wpływ dobroczynny. Spotkała ją wiele zawodów, pomimo to trwała w swojej pracy i nie traciła nadziei, a nauczanie miało być zawsze jej dola. W czasach, w których literatura była niepopłatną, stanowiło ono jedyny sposób do życia wykształconej a ubogiej panny, która nie chciała być nikomu ciężarem, a ona miała tę szlachetną dumę.

We Francji Zmichowska przebyła lat kilka. Brat wpłynął na rozwój jej umysłu, sama też czytała i uczyła się z zapałem. W wielu też swoich utworach wprowadza go jako swego doradcę, pocieszyciela, dobrego ducha, który zawsze ją umacnia w wytrwaniu przy prawdzie, jeśli świat ją zrani i niezrozumie,

Bo rzeczywiście Zmichowska jako autorka, wyprzedziła swój czas. Jej pojęcia, jej ideały zgadzają się więc z dzisiejszą chwilą, niż z epoką, w której żyła. Nazywano ją też często egzaltowaną, przewróconą głową. Szczupłe tylko kółko kobiet rozumnych i zacnych gromadziło się około niej, ogół musiał ją szanować ale nie umiał oceniać ani jej wielkiego talentu, ani zacnych chęci, ani gorącej miłości dla społeczeństwa, któremu całe życie poświęciła. Ona to jedna z pierwszych zwróciła uwagę na lud, zajmowała się nim, pragnęła dla niego nauki, słowem i piśmem przemawiała w tym kierunku.

Pisać zaczęła wczesnie, naprzód liryki i poematy, potem powieści pod pseudonimem Gabryeli. Utwory jej będąc ceniłone zawsze w literaturze, przecież nie była i nie jest dotąd popularną. Za najznakomitszy jej utwór uważaną jest powieść: „Poganka.” Z poezyi zasłynął wiersz „Czemu mi smutno?” Pisała niewiele i tylko wówczas, gdy czuła tego potrzebę.

Życie miała smutne, w ciągłej walce z materyalną potrzebą, zapracowywała się lekcjami i marnowała czas na roboty nieodpowiednie dla jej wielkiego talentu, bo chciała nie tylko samej sobie wystarczyć ale i swemu miłościwemu sercu. Umarła po długiej chorobie w Warszawie w r. 1876 bliska niedostatku, samotna, pomimo kółka związanego z nią myślą i sercem, bo kółko to składały kobiety jak ona zapracowane.

Znosiła z niezmaczoną cierpliwością chorobę, samotność, niedostatek i pracowała ciągle, dopóki tylko ręka jej



Narcyza Żmichowska (Gabryela).

pióro utrzymać mogła. A ostatnie jej dzieło było jednym z najpiękniejszych.

Nie powinniśmy o niej zapominać, gdyż była to jedna z najczystszych, najszlachetniejszych dusz a talent jej był wielki. Wszystko co pisała, pisała z głębi serca przepełnionego miłością bliźnich i z prawdziwego przekonania, bo prawdę w życiu ceniła nadewszystko.

W. M.

Z POEZJI ŻMICHOWSKIEJ.

Achl być poetą, to ducha cudem
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią wieków zedrzyć zasłony,
Hymnem przyszłości nucić przed lu-
[dem.

W jednej godzinie przywłaszczyc sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie!

(Szczęście poety).

Ja nie chcę szczęścia! Mnie dziś ubogiej
Gdyby los złotem cisnął wśród drogi,
Gdyby możliwością dla mnie się stały
Wschodnich powieści cześć ideały,
I gdyby droższa nad wszystkie skarby
Piękność i sztuka — myśli osnowę
Zaczarowały w tęczowe farby,
W dźwięki muzyki, w arcydzieł mnóstwo,
W talentu świetność, w geniuszu bóstwo,
W nęcącą sławnych ludzi rozmowę;
I gdybym wszystko odrazu miała,
Co kupiec i co artysta roi,
Lecz w obcej ziemi — jabym wolała
Cicho żyć tutaj, jak bracia moi.

Wolę być dzieckiem między drobnymi,
Wolę być ciepłym ziarnem w mej ziemi,
Niż gdzie daleko, choćby wysoko,
Choćby przy słońcu — martwą opoką.

(„W unienniku”).

Czemu mi smutno? Czy, że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni —
I tam wysoko, po niebie, nademną,
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną?
I w uszach skargą jęklivą powiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa —
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szala, i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznanej — nieznana
Pędzi, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły.

(„Czemu mi smutno”).





Okularnik indyjski.

B. Dyakowski.

Węże.

(Dalszy ciąg).

Za to Azja obfituje w węże jadowite, zwłaszcza jej części południowe, Indye wschodnie i Archipelag Malajski. Wśród tych węży najbardziej znany jest okularnik indyjski, spory wąż, mający prawie 2 metry długości, barwy żółtej z popielato niebieskawym połyskiem. Nazwę swą otrzymał od białej plamy, czarno obrzeżonej na karku przypominającej nieco okulary, a właściwie *pince-nez*. Będąc rozdrażniony, wąż ten podnosi przednią część ciała i przy pomocy ruchomych żeber rozszerza tarczowato szyję. Z pewnej odległości, sprawia to wrażenie, jak gdyby miał on kapelusz okrągły na głowie. Stąd też Portugalczycy przewalili go „Cobra di Capello” wąż *kapeluszkowy*. Okularnik przebywa najchętniej w miejscach suchych i piaszczystych, ukrywając się w kupach kamieni, stosach drzew a nawet starych murach. Obyczajnie ma dzienne, nie lubi jednak spacerować przy bardzo gorącym słońcu, i z tego powodu najczęściej wychodzi na łowy przed wieczorem. Na lądzie porusza się dość rączo, w wodzie pływa wybornie a w razie potrzeby potrafi nawet wleść niewysoko na drzewa. Żywi się głównie gadami i płazami, jada jednak także mniejsze ssące ptaki.

Niekiedy zagląda do mieszkań ludzkich, zapewne w poszukiwaniu żeru, w ogóle jednak ucieka przed człowiekiem. Nie trzeba go tylko rozdrażniać, jad jego bowiem jest bardzo niebezpieczny i działa nadzwyczaj szybko. Należy więc do straszniejszych węży. Z tego powodu, czy też może dla jakich innych względów lożnaje on czci w wielu miejscach, i większość Indusów pod żadnym pozorem nie odważy się na zabicie okularnika.

Znacznie niebezpieczniejszy jest Okularnik olbrzymi, dosięgający niezwyklej, bo 4 metry długości — zjawisko wyjątkowe wśród węży jadowitych. Zamieszkuje on lasy Indyi Wscho-

dnich, doskonale pływa i łązi po drzewach, jest więc groźniejszy od swego krewniaka: tembardziej, że jad jego działa z wielką gwałtownością. Poluje wprawdzie przeważnie na inne węże, przy sposobności atoli rzuca się i na człowieka, należy bowiem do najzuchwalszych i najsmielszych wśród gadów.

Nie sądzić jednak, aby jadowite węże znajdowały się wyłącznie w Indyach, posiada je cała strefa zwrotnikowa Azji a nawet i poza jej obrębem spotyka się je także. Chiny południowe zamieszkuje wąż, mniejszy od okularnika indyjskiego, zwany parasol. W niektórych miejscowościach jest on nadzwyczaj pospolity nie tylko w lasach i zaroślach, lecz także w mieszkaniach ludzkich, do których wślizguje się niepostrzeżenie, niby tak, jak u nas żaby w lecie do wiejskich domów o niskich progach. Ale podczas gdy bezwiedne nastąpienie na żabę nie grozi niczem, parasol zaczepony w ten sposób może ukąsić i spowodować śmierć lub ciężką chorobę. Dobrze jeszcze, iż właściwym celem jego odwiedzin nie są ludzie, lecz myszy, szczury, żaby, oraz inne drobne kęgowce.

Równiny Azji środkowej również nie są wolne od węży. Jeden z nich, napotykamy także w południowej Syberii, towarzyszy stale pasterzom, koczującym ze stadami, szerząc spustoszenia wśród młodych kóz i owiec. Z tego względu jest on znacznie uciążliwszy od okularników, które przynajmniej szukają ofiar wśród zwierząt dzikich. To też mieszkańcy stepów Azyatyckich polują nań z zaciętością nie mniejszą, jak gdyby nastawał na ich własne życie.

Afryka jest znacznie uboższą w węże jadowite od Azji, nie brak ich jednak i w tej części świata.

Z Afrykańskich węży najszerzą sławą cieszy się okularnik egipski, większy od indyjskiego (2½ metra), ale znacznie mniejszy od olbrzymiego. Barwa jego jest słomkowo-żółta w ciemne poprzeczne pręgi na szyi, plama w kształcie okularów znacznie mniej wyraźna, niż u jego indyjskiego krewniaka. Wąż ten zamieszkuje całą Afrykę północną i zachodnią; znaleźć go można tak samo w lasach i gęstych zaroślach, jak w polach i pustyniach. Łowi inne węże, jaszczurki, myszy polne, skoczki. Nie zaczepony, nie rzuca się na człowieka, dzięki zaś swej wielkości łatwy jest do zauważenia i z tego powodu stosunkowo rzadko bywa przyczyną śmiertelnych wypadków wśród ludzi. Wąż ten w starożytnym Egipcie odbierał cześć boską i temu przeważnie zawdzięcza swą sławę wszechświatową.

Znacznie więcej grozy od tego okularnika wzbudza wśród mieszkańców Afryki północnej inny mniejszy wąż, zwany efa, nie większy od naszej żmii (60 centymetrów). Maleńki ten wąż wciska się do mieszkań i ukrywa się tam niepostrzeżenie w ciemnych zakątkach, włazi pod dywany,



Okularnik egipski.

kołdry lub między złożone ubrania. Usposobienie ma nadzwyczaj złośliwe i bardzo łatwo wpada w gniew. Dość jest nawet dotknąć go lekko. To też biedny mieszkanieli-pianki w Egipcie, wracając zmęczony do domu po całodziennej pracy, nigdy nie może być pewny, czy nie znajdzie na swem łożu pod okryciem efy, który rozłoszczony za niespodziewane przebudzenie, wita go jadowitem ukąszeniem. Okularnika przynajmniej nie zastaje się w mieszkaniu.

Również bardzo uciążliwym, ale już głównie dla podróżujących przez pustynię, jest inny także niewielki (do 65 centym), wąż, zwany rogatym, ponieważ posiada brodawkowate łuski na ciemieniu, tworzące rodzaj różków nad oczami. Ma on barwę piaskowatą i z tego powodu trudny jest do zauważenia na żółtawem tle pustyni, tembardziej, że leży zwykle częściowo zagrzebany w piasku. Można więc nań bardzo łatwo nastąpić i narazić się na niebezpieczne ukąszenie. Zęby jego wprawdzie nie są w stanie przebić grubych butów, większość jednak ludzi w pustyni poprzestaje na lekkich sandałach, nie zabezpieczających nogi wcale przed jego zębami. Nieprzyjemnym również jest zwyczaj tych węży złażenia się do ognisk nocnych, co także bywa powodem niejednego wypadku.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Luty towarzyszył Jakubowi w jego częstych na miasto wycieczkach. Błądzili wśród pięciomilionowego mrowiska, jak wśród bezbrzeżnej lesistej puszczy, bo jednostka ludzka ginie tak samo w tłumie, jak w prastarym borze. Tylko londyńska puszcza pstrzy się różnaitością wspaniałych budowli, ogrodów, posągów, muzeów i galerii. Podziwiał te cuda Stefan, widział pierwszy raz gotyckie wieże na Westminsterskiej katedrze, i wspaniałą, do Watykańskiej podobną kopułę na kościele św. Pawła. Najwięcej jednak zajęły go obronne mury Toweru. Wzniósł je w jedenastym wieku Wilhelm książę Normandzki, zdobywca Anglii, który na gruzach starej rzymskiej fortecy zbudował silną warownię. Służyła ona pierwotnie za mieszkanie dla panujących, a potem zamieniona na więzienie, była świadkiem wielu krwawych dramatów.

Stefan mało dotąd zajmował się historią, ale teraz przemówiła ona do niego z bogatych muzeów, gdzie podziwiał egipskie, greckie i rzymskie pamiątki, przemówiła wymownemi bo na ścianach starych murów zapisanemi zgłoskami. Słuchał więc chciwie opowiadań O Cleara.

Jeśli jednak zaciekawiała go przeszłość, to stokroć żywszy udział brał w tem wszystkim, co dotyczyło chwili obecnej. Na giełdzie widział po raz pierwszy pieniężny wszechświatowy jarmark. Przerzucano tu milionami, jak dziecko przzerzuca garścią piasku, a inżynier tłumaczył Stefanowi znaczenie wywoływanych cyfr. Słży na sprzedaż akcje przedsiębiorstw wszystkich części świata. Te papiery, których wartość podnosiła się lub spadała w kursie, dawały dobrobyt masom, stawiały dla nich koleje, budowały fabryki, maszyny, mosty, użyźniały pustynie, ujarzmiały na usługi człowieka powietrze i morze.

— Wielkim przedsiębiorstwom nie podoła wola i majątek pojedynczego człowieka, tysiące jednostek uczestnicy w każdym nowo powstającym dziele. Ale to, do którego ja przywiązałem serce, nie zawiązuje się na giełdzie — mówił Jakób prowadząc Stefana na miting, czyli zebranie, gdzie radzić miano o losach przyszłych kolonistów. Luty nie ro-

zumiał tego, co mówiono dokoła niego, zbyt mało jeszcze znał język angielski, aby uchwycić wątek obrad. Widział jednak, że panowie zgromadzeni w wielkiej sali przy Oxford Street rozprawiają z zapałem, że wszyscy oni dążą do tego samego celu, co Jakób O'Clear, że koloniści mają liczny zastęp opiekunów wśród inteligentnych obywateli kraju, że ta inteligencja nie da biedakom zginąć marnie na drugiej półkuli. Przypomniał sobie towarzyszy podróży, dążących przez Bremę za ocean.

— Co się stało ze Skibą i jego gromadą? — myślał ślusarczyk, są już teraz zapewne w Ameryce, ale czy dadzą sobie tam radę; nie znając języka, praw i zwyczajów miejscowych.

Zrobiło się smutno Stefanowi. Chciałby powiedzieć rozprawiającym panom, że i on zna tłum kolonistów, że ci koloniści zasługują na współczucie, bo są ciemni a tak opuszczeni, jak nikt na świecie, ale zamilkł... bo nie umiał po angielsku.

— Trzeba uczyć się co prędzej tutejszej mowy, inaczey sam nic nie zdobędę i nie pomogę swoim — mówił sobie Stefan, myśląc wciąż o wychodźcach z pod Rogoźna lub Mławy.

— Znajdziesz i w Londynie tysiące naszych robotników. Dziś niedziela pójdziemy razem na polskie kazanie — powiedział Jakób, kiedy Stefan wyraził mu współczucie dla Skiby.

Stefana ucieszyła propozycja inżyniera. Widział kościoły w Bremie i wspaniałe świątynie londyńskie, ale dawno nie był na nabożeństwie, tęsknił też za wspólną modlitwą. Poszedł więc razem z Jakóbem na ulicę S-go Teobalda, gdzie w krypcie włoskiego kościoła, odprawiał ksiądz Bakanowski nabożeństwo*). Nie śpiewał on tak pięknie jak proboszcz Wągrowiecki, nie tak tu grały organy, jak w farze nad Wełną, nie tak zwłaszcza rzewnie i poważnie były spiżowe serca dzwonów.

Jednakże gdy kilkaset polskich głosów zawtórowało prośbę „Odwróć od nas głód, mór ciężki,” wydało się Stefanowi, że stoi w Wągrowieckim kościele, że otaczają go ołtarzy, że *Tamci* od Węrebka przejdą parami ku wielkiemu ołtarzowi, a Marysia pociągnie go za rękaw, bo czas wychodzić z kościoła.

Stefan się wzdrygnął. *Tamci*, a więc i Leon, gdzież on jest teraz? czy policja bremeńska schwyciła złoczyńców? Towarzysz jego dzieciennych lat pokutuje może w więzieniu za zły czyn, a on sam czyż nie zasłużył także na karę? Postąpił samowolnie, rzucając bez opowiedzenia się warsztat uczciwego majstra, który przez parę lat uczył go rzemiosła. Alboż wolno jest zrywać umowę zawartą w imieniu ucznia przez opiekuna? On, znajda, zawdzięczał bądź co bądź miastu swe wychowanie, czy miał prawo iść w świat nie powiedziawszy nikomu „Bóg zapłać?” Pamiętał krzywdę a nie pamiętał o długu, jaki zaciągnął względem Wągrowca. Przekupki słusznie sarkać będą, że grosz publiczny idzie na darmo, bo z sierot, żywnych kosztem miasta, wyrastają włóczęgi. Cierpiał już wprawdzie gorzko za swój postępek, włóczęgą nie zostanie nigdy, ale kto wie co czeka go jeszcze?

Tak myślał Stefan a tymczasem, uboga krypta zapożyczona od Włochów wypróżniała się powoli z Mazurów i Litwinów, przybyłych za zarobkiem nad Tamizę.

— Nie sądziłem, aby było tak wielu naszych w Londynie? — powiedział do Jakóba.

— Wielu? ależ widzisz tu tylko cząstkę kolonii i krypta zaledwie pareset osób pomieścić może, a proboszcz ma kilka tysięcy parafian.

— Kilka tysięcy! zawołał zdziwiony Stefan.

— Tak, wtrącił — się do rozmowy Ksiądz Bakanowski. tak, to też musimy zbudować im kościół. Polscy wychodźcy przyjeżdżają do Londynu zwykle sami, ale rozpatrzyć

*) Tak było przed kilkadziesiątu laty, teraz kolonia polska ma własny kościół w Londynie.

wszy się w mieście, sprowadzają żony i dzieci lub żenią się między sobą. A każdy z nich marzy o powrocie do kraju są i tacy, którzy za uzbierane pieniądze nabywają później własny kawałek ziemi nad Wisłą lub nad Niewiażą. Patrzą na państwo na tych ludzi; ubranie mają czyste, twarz delikatną, chociaż pracują ciężko, a zajrzyjcie dziś wieczór do ich mieszkań, znajdziecie u wszystkich kawałek mięsa na wieczerzę i obok kufła z piwem, gazetę lub książkę.

Tak mówił ksiądz Bakanowski, ciesząc się parafianami, którym pomagał radą i opieką, ale czy tę opiekę znajdują wszędzie nasi emigranci? Kolonia polska w Berlinie liczy 50,000, nad Renem także 50,000 dusz, w Westfalii jest ich 150,000.

Tyle biedaków po świecie, zdala od kraju, od swoich rodzin!

Jak sobie radzą ci ludzie? — myślał Stefan, słuchając objaśnień proboszcza.

Jak sobie radzą? Oto co zajmowało przedewszystkiem naszego bohatera. On także potrzebował, on musiał znaleźć radę dla siebie. Rodzina O'Clearów okazywała mu serdeczną wdzięczność i przyjaźń szczerą, ale zarówno wdowa jak i jej syn unikali w rozmowie wzmianki dotyczącej przyszłości, dbając tylko o zdrowie i wygodę gościa. Gościem jednak nie mógł on na zawsze pozostać. Stefan czuł to doskonale i w miarę jak wracały mu siły stawał się coraz drażliwszym na odbierane usługi, bo z właściwą szlachetnym naturom bezinteresownością, zapomniał już, że dał tym ludziom więcej, niż mógł od nich otrzymać kiedykolwiek. Ta drażliwość nieledwie chorobliwa spotęgowała się jeszcze po rozmowie z proboszczem.

— Tylu biedaków, może nawet mniej od niego umiających, daje sobie radę na świecie, a on tylko ma żyć zawsze kosztem drugich? — myślał Luty.

— Wrócił z kościoła i zasiadł z Jakóbem przed kominkiem. Żarzyły się na nim węgle, bo wieczór październikowy był chłodny, ale żarzyło się i w sercu chłopca od walki sprzecznych uczuć. Chciał pracować dla siebie dla drugich, nie być ciężarem i darmożjadem, a nie wiedział o co zacząć ręce. Targał niecierpliwie płową czuprynę, kręcił się niespokojnie na krześle, mógł pytać Jakóba o radę, słowa uwięzły mu w gardle. Aż stało się to, co bywa zwykle, gdy zbyt wiele doznajemy wrażeń. Stefan przewzyczył nieśmiałość i wypowiedział jednym tchem wszystko, co ciążyło jego duszy.

Mówił, że nie umie sobie wytknąć drogi. Z pomocą księdza Bakanowskiego znalazłby może zarobek w warsztacie, ale to nie dosyć. Czuje w sobie moc, która pcha go nie tylko do pracy. Obudziły się w nim inne pragnienia. Chciałby z czasem nieść pomoc drugim, zrobić coś, z czego korzystałby bliźni, bracia, ale on nic nie umie, nic nie wie. To go tak dręczy, że musiał wypowiedzieć się przed Jakóbem z wewnętrznej rozterki.

I Stefan stał w postawie skruszonego grzesznika. Nie śmiał spojrzeć O'Clearowi prosto w oczy, tak kosztowało go wyznanie uczynione pierwszy raz w życiu. Dotąd nie zwierzał się nikomu ze swoich uczuć w obawie, aby nie wyśmiano znajdy. I teraz patrzył po kątach pokoju, byle nie spotkać wzroku Jakóba, który może także szydzić będzie z jego troski.

Dziwny to był pokój ten gabinet O'Cleara. Prócz kilku foteli i kilku dębowych stołów nie stał tu żaden sprzęt ku ozdobie lub wygodzie służący, ale za to na ścianie wisiały mapy wszystkich części świata, a na rozsuniętych deskach stołów leżały stosy płodów zwiezionych z najodleglejszych zakątków ziemi.

O'Clear pozwolił Stefanowi odetchnąć chwilę po ciężkiej spowiedzi, i z kolei sam zaczął mówić. Powiedział chłopcu, że go rozumie lepiej niż on sam się pojąć w tej chwili zdolny. Powiedział, że każdy dążyć winien do tego, aby nie zostać pospolitym zjadaczem chleba. Mówił, ile winien

Stefanowi wdzięczności za uratowany majątek i jak gorąco interesuje się przyszłością sieroty.

— Sam musisz o tej przyszłości postanowić, bo każdy człowiek jest mniej więcej kowalem własnego losu, ja pomogę ci tylko rozpatrzyć drogę, którą masz obrać. Czy wolisz pozostać w Anglii, czy wolisz wracać do Wągrowca? Tu i tam nie przestanę ci być bratem, ale rozłączyć się musimy.

— Rozłączyć — zawołał Stefan, przerażony myślą rozstania z O'Clearami.

— Tak — odpowiedział Jakób — Ja wyjeżdżam do Ameryki razem z pierwszą partją wychodźców irlandzkich.

— A matka pana? przerwał Luty.

— Matka moja odwiedzi rodzinę, która mieszka w Warszawie. Tęskniła całe życie za krajem, dzięki tobie i uratowanemu majątkowi stryja, może na czas dłuższy pojechać do swoich.

— I pani O'Clear nie sprzeciwia się wyjazdowi nie boi się o pana? — pytał Stefan ogłuszony niespodziewanymi wiadomościami.

Jakób stracił na chwilę zwykłą powagę i uśmiechnięty, mówił z tajemniczą miną.

(d. c. n.)

Mali Syngalezi.

Gromadka, którą mamy zaszczyt przedstawić czytelnikom „Wieczorów” na pierwszej stronie dzisiejszego numeru — pochodzi z daleka, bo aż z wyspy Ceylon, leżącej na oceanie Indyjskim, pod półwyspem Hindostańskim.

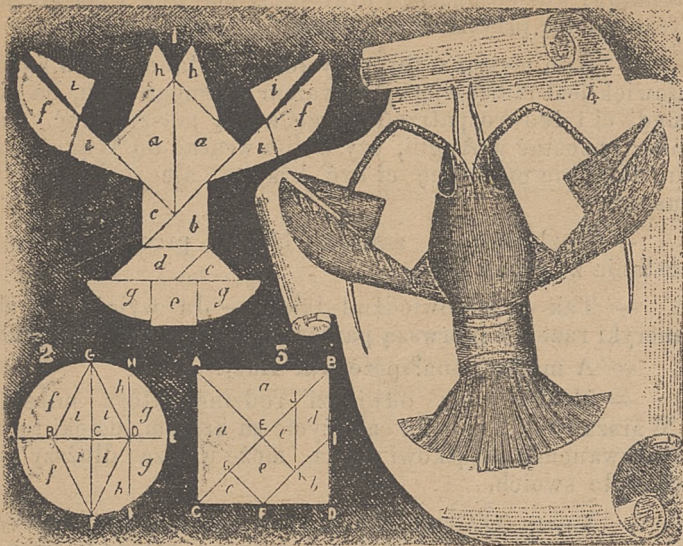
Są to dzieci zamożnej rodziny z plemienia Syngalezów, ubrane w szaty odświętne. Na codzień noszą tylko białe kaftany, i coś w rodzaju czerwonej spodniczki. Pomimo śniadej cery jest to jedno z najpiękniejszych plemion, co widać z rysów tych dzieci, odznaczają się też inteligencją.

Syngalezi przybyli do Ceylonu z Północnych Indyi w VI wieku i zawładnęli wyspą, którą rządzą sami aż do 1815 roku, podbiwszy miejscowych mieszkańców (Weddów) i przybywających później z południowych Indyi Tamilów. Dziś jeszcze, choć wyspa cała należy do Anglii, Syngalezi stanowią prawie $\frac{3}{4}$ całej ludności i zajmują wśród krajowców miejsce przodujące. Jest ich około $2\frac{1}{2}$ miliona. Dawni królowie z tego plemienia, podobnie jak Faraonowie egipscy, snąc lubili wznosić wielkie budowle, bo na wyspie znajduje się wiele wspaniałych ruin świątyni, pałaców i całych grodów, które wśród bujnej roślinności Ceylonu, wyglądają niezmiernie malowniczo.

RAK GEOMETRYCZNY.

Podajemy czytelnikom „Wieczorów” wzór zabawy, która wynaga pewnej dokładności w wykonaniu i zręczności rąk. Nazywa się „rakiem geometrycznym,” gdyż ów rak, jak widzimy na rysunku, składa się z 17 figur geometrycznych, wyciętych z dwóch figur: koła i kwadratu. Do zrobienia tego raka potrzebny papier dość twardy, cyrkiel, linijka, nożyczki i ołówek.

Najpierw więc na papierze nakreślić trzeba koło, którego środek będzie punkt *C*, a promień wynosić ma 4 centymetry. W kole tem przeprowadzić dwie linie: średnicę



poziomą AE i prostopadłą GF . Następnie przepołowić linię AC i CE , oznaczając środek pierwszej literą B i drugiej O . Owe punkta B i O należy połączyć liniami z punktem G i F , a prócz tego przeprowadzić przez punkt O linię pionową od środkowej AE , która zetknie się z obwodem koła w punktach I i K . Za pomocą tych linii przedzielimy koło na 10 kawałków, oznaczonych literami: f (2 kawałki), g (2), h (2), i (4).

Następnie trzeba nakreślić na papierze kwadrat $ABCD$, którego każdy bok ma mierzyć $6\frac{1}{2}$ centymetrów i podzielić na 7 kawałków w sposób następujący: Przeprowadzić przekątną CB i równoległe do niej ze środka boku CD (punkt F) do punktu I — drugą linię FI i na niej w punkcie K zakończyć przekątną, prowadzoną od punktu A . Kiedy jeszcze nakreślimy linie G i Kd , otrzymamy 7 figur oznaczonych literami a (2), b (1), c (2), d (1), e (1).

Trzeba dalej wyciąć owe 17 kawałków nakleić je w ten sposób, aby utworzyły raka. Jeżeli papier będzie czerwony i doklejemy do figury wąsy i zaznaczymy we właściwych miejscach oczy, rak geometryczny będzie przypominał żywego.

SZARADA.

Z. S. z P.

Pierwszą z liter już wygnano;
Pierwsze czwarte, skąpca miano;
Pierwsza trzecia, zbiór, gromada,
Gdyż się na nią zwozi, składa;
Druga trzecia, gdy jest wiele,
Warta jest mniej niż złe ziele,

Ale gdy ją znajdziesz w ziemi,
Zrównasz się z najbogatszymi:
Wszystka u nas dobrze znana,
Przez smakoszów pożądana.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. Zosia z p. Skalbierza.

K	ł	e	l	o	z	z	o
2	a	l	o	m	o	k	a
3	a	a	i	c	o	l	a
4	a	a	4	ć	u	k	i
5	B	e	r	e	z	y	n
6	k	o	z	z	z	o	y
7	y	a	k	o	d	o	z
8	k	o	l	a	n	d	o

W kwadracie z 8 przedziałków ułożyć wyrazy ośmiogłoskowe, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę miasta nad Wisłą. 1 rząd. Morskie zwierzę ssące. 2) Wyspy na oceanie Spokojnym. 3) Wódz rzymski, podbił Wielką Brytanię. 4) Poeta polski. 5) Dopływ Dniepru. 6) Zakon rycerski. 7) Wyspa na oceanie indyj-

skim. 8) Państwo w Europie. Sylaby: a—be—co—cki—cy—di—dya—gri—ho—kra—krzy—na—lo—lo—la—la—lan—mo—na—ryb—re—sa—si—wie—wy—zy—za.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9.

Szarady: Kossak.

sak, kos, kosa, as, sas, sok, sos, koks, osa, Aa, oko.

Zadania konikowego:

Po brzozym cichym lesie;
Idzie dziewczę, dzbanek niesie;
Niesie dzbanek z jagodami,
Z poziomkami, z borówkami.
Kłaniają się przed nią drzewa;
Ona śpiewa i las śpiewa:
— Danaż moja, dana, dana!
Jagódeczko, pójdz do dzbana!

T. L.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Mali Syngalezi (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Narcyza Żmichowska (Gabryela) (z portretem). Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Rak geometryczny. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Modlitwa wieczorna, wiersz przez Jana Chęcińskiego (z ryc.) — Jak się dzieci uczyły lekcji. — Moi przyjaciele, przez Janusza. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanie królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 25 Февраля 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Modlitwa wieczorna.

Dzięki Ci, Stwórco, za słońca blaski,
Za życie, zdrowie, modlitwę, pracę,
Książki, zabawki, za wszystkie łaski,
Których pożytkiem serce bogacę.
Dzięki Ci, Stwórco, za ojca, matkę,
Czuwaj nad nimi w spoczynku porze,
Zsyłaj im z dątwy pociechy same,
Bądź pochwalony Wszechmocny Boże.

Ale nie wszyscy jak ja szczęśliwi,
O, Panie! wejrzyj tam, gdzie strapieni,
Niech im sen błogi ducha ożywi,
Niech Twoja dobroć łzy w uśmiech zmieni!
Zlituj się Ojczy ojców nad nimi,
Wszak Twe skinienie cud działać może,
Niech jutro zbudzą się szczęśliwymi...
Bądź pochwalony, Wszechmocny Boże!

Jeśli Cię dzisiaj czem obraziłem,
O, dobry Stwórco! przebac łaskawie;
Pomóż mi czynić, co ci jest miłem,
Daj jutro dożyć, niech się poprawię.
Już ziemię nocą okryłeś ciemną,
Za chwilę głowę do snu ułożę,
Jak nad wszystkimi, czuwaj nade mną,
Bądź pochwalony, Wszechmocny Boże!

Jan Chęciński.



Jak się dzieci uczyły lekcji.

Dzieci, patrzcie, jak Pan Bóg świat zaczarował! — zawołała ciocia pewnego rana.

Walka wysunęła głowę z pod kołdry — Mania na łóżku się podniosła.

— Jak zaczarował? jak? — pytały obie.

— Wstańcie prędko, to zobaczycie.

Walka z łóżka wyskoczyła i zaczęła się ubierać. —

Mania się jeszcze przeciągała, choć była ogromnie ciekawą, jak to Pan Bóg świat zaczarował!

A ciocia w oknie stała i patrzyła, patrzyła...

— Kańciuniu,*) jak Pan Bóg świat zaczarował? jak? dopytywała się Walka, prędko wciągała trzewiki.

— Patrz! ciocia odpowiedziała.

Walka stanęła w oknie, oczki szare roztworzyła i patrzyła na zaczarowany świat. Mania stała tuż za nią.

— Ach, ciociu, jak ładnie! jak ładnie!

— Prześlicznie — powiedziała ciocia.

Cały ogród był bielutkim śniegiem pokryty, nie było ani jednego nagiego drzewka, ani jednego ciemnego krzaczka — wszystko było osypane białym szronem.

— Dzieci — powiedziała ciocia — jeśli prędko nauczycie się lekcji, jednej tylko lekcji, to wam pozwolę na pół godziny pobiedz do ogrodu; ale koniecznie trzeba nauczyć się lekcji, choć jednej.

— Ciociu, my się nauczymy — powiedziała Jadzia, najstarsza dziewczynka.

— Nauczmy się, nauczmy — powtórzyły Walka i Mania.

I zaraz chciały się zabrać do nauki.

— A czyście się już umyły, uczesały i pacierz zmówiły?

*) Walka mówiła Kańciuniu zamiast, kochana ciociuniu.

— Nie, ciociu.

— A to ładnie! — zawstydziała ciocia. — A która to dziś pilnuje porządku?

— Ja — powiedziała Jadzia — już kurze pościerałam i już moje i Mani łóżko posłałam.

— A Walki?

— Ja zaraz swoje pościelę.

Walka łóżko słała, Mania się myła, Jadzia zapalała lampkę przed obrazem Matki Boskiej — bo to była sobota. Tak się śpieszyły, że w dziesięć minut później już siedziały przy książkach. Walka się uczyła naprawdę, bo bardzo lubiła biegać po śniegu, a dobrze wiedziała, że jeżeli nie nauczy się lekcji, to ciocia do ogrodu wyjść nie pozwoli; ale Mania zamiast uczyć się, zaczęła myśleć o śniegu, o tem, dlaczego śnieg biały a nie czarny? Chciała nawet spytać się o to cioci i już otworzyła buzię, ale zobaczyła, że ciocia pisze coś przy stoliku, a wiedziała, że ciocia gniewa się, gdy dzieci zapytują o różne rzeczy, kiedy ciocia pisze.

— Spytam się później — pomyślała, i zaczęła powtarzać francuskie słówka, ale nie myślała o tem, co się uczy, tylko o czarnym śniegu.

Ciocia skończyła pisać, włożyła pelerynę i powiedziała dzieciom: Do widzenia.

— Dokąd ciocia idzie?

— Do ogrodu. Ja już zrobiłam co do mnie należało, mogę iść do ogrodu.

— Ciociu, ja zaraz będę umiała jedną lekcję — mówiła Walka.

— Dobrze, niedługo wrócę i przestucham cię; jeśli będziesz umiała, zaraz po herbacie pójdziesz do ogrodu biegać po śniegu.

Walka zatkała uszy i cicho powtarzała rozmówki francuskie, a Mania jeszcze o czarnym śniegu myślała. Wreszcie ciocia powróciła z ogrodu.

— Czy umiecie lekcje? — spytała ciocia.

— Ja umiem — powiedziała Walka.

— Ja także — powiedziała Jadzia — ja nawet dwóch przedmiotów się nauczyłam.

— A ty, Maniu?

— Ja nie wiem, ja może umiem...

Ciocia zadała Jadzi kilka pytań na wrywki — Jadzia na wszystko dobrze odpowiadała, Walka także umiała rozmówki, tylko Mania jąkała się bardzo i przekręcała wyrazy.

Ciocia nie gniewała się.

— Idźcie teraz na śniadanie — powiedziała — a po śniadaniu Jadzia i Walka pójdą do ogrodu.

— A Mania?

— Mania nie pójdzie, musi przecież odrobić swoją lekcję.

— Ach, biedna Mania!

Biedna! Ale któż jej winien?... Dlaczego zamiast skupić uwagę i zająć się szczerze zadaną lekcją, rozmyślała o czarnym śniegu i niebieskich migdałach! Dużo jej przyszło z tego myślenia w niewłaściwej porze! Nie dowiedziała się nawet, dla czego jest śnieg biały a nie czarny — bo ze zmartwienia zapomniała zapytać się o to cioci.

Ciocia.

MOI PRZYJACIELE.

Antek.



Stałem pewnego razu przed wystawą księgarni i usłyszałem taką rozmowę:

— Wejdz, Antku i zapytaj, ile ta książeczka kosztuje — mówiła ośmioletnia, bardzo biednie ubrana dziewczynka do chłopczyka.

— Kiedy nie mam pieniędzy — odpowiedział chłopiec.

— To nic, Antku. Jak zbieramy sobie, to kupimy, a będziemy już wiedzieli, ile kosztuje.

Zapytałem dzieci:

— A która to książka tak wam się podoba?

— O, ta: „Mali bohaterowie” — powiedziała dziewczynka.

— Dobrze więc. Ja kupię tę książeczkę i dam wam teraz. A jak zbieracie sobie pieniądze, to mi oddacie tyle, ile kosztowała. Czy dobrze?

— Ale ja nie wiem, gdzie pan mieszka — odpowiedział Antek.

— To ja ci powiem.

Dzieci się zgodziły.

Książeczka kosztowała trzy kopiejki. Napisałem na niej swój adres i oddałem dzieciom, które poszły uradowane.

W kilka dni później, kiedy jadłem obiad, służąca powiedziała mi, że przyszedł do mnie jakiś chłopczyk.

— Przyrowadź go tutaj — rzekłem, i po chwili zobaczyłem Antka.

— Byłem już raz u pana — powiada — ale nie zastałem, a pieniędzy tom się bał zostawić, żeby nie zginęły. I oddał mi trzy kopiejki.

Rozmawiałem z Antosiem długo, dowiedziałem się, że ojciec jego jest stróżem, że lubią u nich w domu wszyscy czytać, że im się książeczka ta bardzo podobała, i wiele innych rzeczy, o których opowiem wam jeszcze innym razem.

Janusz.

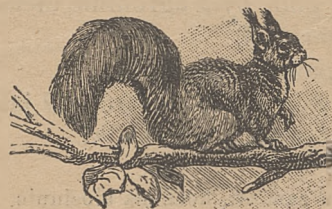
POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

V.

Czarodziejskie pantofelki.

Na dworze ptaki świergotały wesoło ciesząc się z pogodnego jesiennego dnia, lecz na widok dwóch nieznanomych ptaków, umilkły zdziwione.



— Nie znają nas — powiedziała Krętogłówka.

— Naturalnie, że nie — odrzekła Przekornatka.

A zwracając się do ptaszków, spytała.

— Czy nie widział który z was czworga dzieci?

— Widziałem na łące dwóch chłopców — zaświergotał szczygieł. — Jeden z nich rzucił na mnie kamieniem.

— Wiadomo, że chłopcy są złośliwi — zrobiła uwagę Przekornatka.

— O! nie to miałem na myśli — tłumaczył się szczygieł. — Chłopiec nie miał zamiaru wyrządzić mi krzywdy; wiedział dobrze, że mnie nie trafi.

— A dziewczynek nie widziałeś? — dopytywała Przekornatka.

— Ani jednej!

— Naprawdę wieszczki zamienione w ptaki fruwały nad łąką, siadały na gałęziach na brzegu lasu i pytały ptaszków: żaden nie widział dziewczynki.

— Ach! poco ja wzięłam z sobą te pantofelki! — westchnęła Przekornatka. — Tak mi ciężko!

— Rzuć je na ziemię! — poradziła Krętogłówka.

Przekornatka frunęła w gęstwinę i rzuciła pantofelki w krzaki. A wtem, z zarośli odezwał się senny głos:

— Proszę uważać! Jak można rzucać tak na oślep... Można trafić w o...

Głos umilkł, nie dokończywszy wyrazu.

— Kto to? — zapytała Przekornatka.

— To jeź — objaśniła Krętogłówka. — Ale nic się nie stało, bo już zasnął na nowo.

Wtem królik przebiegł drogę, i biały jego ogonek zniknął w krzakach. Krętogłówka pomyślawszy, że od niego będzie mogła dowiedzieć się cośkolwiek, frunęła w tamtą stronę i usiadła przy wejściu do nory, w której królik się schował.

— Królu, panie! — zawołała.

— Niema mnie w domu! — odrzekł bardzo cienki i drżący głosik. Kto mnie woła?

— Tylko ptaszek! — odpowiedziała Krętogłówka.

— A czego ptaszek chce? — pytał głosik.

— Wyjdź z nory to się dowiesz. Ptaszek potrzebuje się z tobą rozmówić.

— Nie mogę wyjść! — mówił żałośnie głosik. — Jestem taki przestraszony!...

— A cóż ci się stało? — zagadnęła Krętogłówka.

— Wyszedłem na przechadzkę — opowiadał królik. A tam z drugiej strony łąki, za krzakami, słychać było taki dziwny hałas! taki dziwny.

— A cóż to było?

— Nie wiem... Jakaś dziewczynka coś mówiła... Ale to było bardzo dziwne... Tak się przestraszyłem!... — opowiadał wciąż drżącym głosikiem królik.

— Chodźmy! — zawołała Krętogłówka na towarzyszkę. — Pewnie tam są nasze dziewczynki...

I pofrunęły na drugi koniec łąki, gdzie poza krzakami dzikich róż i tarniny, siedziała Helusia z Tolcią. Tolcia zasłaniała rękami twarzyczkę i płakała głośno — a Helusia była zajęta jakąś robotą.

— Nie wiem, co ja zrobię! — szlochała Tolcia. — Nie mogę przecież bez nich wrócić do domu.

— Ale poco je kładłaś? — pytała Helusia. — Bona mówiła, żeby włożyć inne.

— Kiedy te ładne! — szlochała Tolcia.

— Teraz już nie są wcale ładne! — odpowiedziała Helusia, podnosząc w górę parę czerwonych pantofelków.

Były może kiedyś ładne, ale nie teraz, powalane błotem, poprzecinane na kamieniach, w jednym widać było wielką dziurę.

— No! no! — szepnęła Krętogłówka.

— Spadają mi z nóg za każdym krokiem, a kamienie kłoją mnie tak, że iść nie mogę! — biadała Tolcia.

— Musisz jednak dojść do domu — nalegała Helusia. — Zaniósłabym cię, gdybym mogła.

— Staś niech mnie zanieś!

— Stasia niema — tłumaczyła Helusia. — A może bym poszła do tych starych pań i wzięła od nich te buty, które chciały dać Stasiowi?

— Nie włożę za nic w świecie takich obrzydliwych butów! — zawołała z gniewem Tolcia.

— Więc cóż zrobimy? Trzeba wracać, bo mama będzie niespokojna... Może spróbujesz pójść boso, Tolciu?

Ale Tolcia zamiast odpowiedzi zaczęła szlochać jeszcze głośniej.

— To zostań tu sama, a ja pobiegnę do domu i powiem bonie, żeby dała inne trzewiki — przekładała Helusia.

— Nie zostanę tu sama! — zawołała Tolcia.

— No to spróbuj iść boso...

Dziewczynka podniosła się i z pomocą siostrzyczki zaczęła iść przez łąkę. Ale doszedłszy do drogi, ustała. Helusia posadziła ją pod krzakiem, tuż przy wejściu do króliczej nory, a sama pobiegła do domu po trzewiki. Tolcia zostawszy sama, położyła się na trawie i zaczęła rozmyślać nad tem co się stało.

— Żałuję, że nie przemieniła trzewików... Żałuję, że podarła te śliczne, czerwone... Bona będzie się gniewała... I mama także... Ach! żeby Helusia wróciła jak najprędzej!...

(d. c. n.)

SZARADA.

R. A. K.

Trzy pierwsze — imię ojca i brata,
Pierwsza czwarta imię mamy splata,
Trzecia i czwarta — imię mej siostruni,
A wszystko imię moje i babuni.

LAMIĞŁÓWKA KRZYŻOWA.

od B. W. dla C. L.

1. Spółgłoska.
2. Roślina pożyteczna.
3. Miasto w starożytnej Grecji.
4. Rzeka wypływająca z Karpat.
5. Imię kilku Papieży.
6. Rzeka w Niemczech.
7. Spółgłoska.

Rząd liter środkowy pionowy powinien utworzyć nazwę wyspy Zundskiej.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ul. Grażyna.

W kwadracie o 16 przedziałkach rozłożyć liczby: od 1-16 w ten sposób, aby w rzędach pionowych jak poziomych w dodaniu wypadła liczba 34.

ROZWIĄZANIE DO N-ru. 9-go:

Szarady: Na — u — ka.

Kwadratów magicznych:

F	e	z	K	u	r
E	r	a	U	f	a
Ż	a	k	R	a	z

Skrzynka do listów.

Pani **H. W. Zechce** sz. Pani przeczytać objaśnienie dane w numerze 10-m Grażynie. Chodziło o usunięcie z koła 5 czarnych i białego w sześciu pierwszych losowaniach, co możliwe jest dopiero przy wybraniu siódemki lub większej liczby do losowania.

Szarada **Zosi Kr.** choć dowcipna ale zbyt dobrze znana.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadeszli: Grażyna, Zdzisławkiewicz, Paulina K., Liczka, Janinka Gawrońska, Lygia, Staś z Kurska, Topola Grodziska, Antos Dębczyński, Filomen, Henrynia i Lusja Danzigerówny, Julek H., Oleś K., z Częstochowy, Zosia z pod Skalbierz, Wesoła Kukulka, Jodelka, Myśliwy, I. I. uczeń gimn. Pensyonarka z nad Warty, Rutka i Terenia Wilnerówny, Wanda Sł., Czarny Kruczek, Krakowianka, Lilia ze Żmudzi, Romcio Kozicki, Miecio z Leszczyna, I. Garczyńska.

Na przytułek Św. Zofii w dalszym ciągu przysłały: Zofia Kossakowa — 50 k., Zofia Romańska — 50 k., Zofia Kossakówna 50 k., Zofia Romańska — 50 k., i Zosia Unrużanka — 50 k., Zosia, Jadzia i Tadzio Pienkowsy — 2 rub. Janinka Siemińska — 15 k., Zosia Wasilkowska — 1 rub.

Wróbelkowi Wileńskiemu. Nie, mój drogi, warunków ćwiczenia zmieniać nie można, opowiadanie musi być napisane z własnej główki, nie przepisane z książki. Pomęcz się trochę, a choćbyś nie zasłużył na nagrodę, praca twoja pozostanie nie bez pewnego pożytku, bo tylko przez pisanie ćwiczeń wprawisz się w poprawne wyrażanie swych myśli i w doborze słów i określeń.

Czarnemu Kruczkowi. Oj, smutno bardzo smutno, gdy gromadce dziątek zabraknie ukochanej matuchny. Licznemu rodzeństwu mniej źle jest wówczas niż samotnej sierocie, bo wzajemnie się pocieszają i wspierają. Czy siostrzyczka jest najstarsza z was, a ty czy najmłodszy z sześciu braci? Przepowiadają w tym roku wczesną wiosnę, więc miejmy nadzieję, że błoto wkrótce wyschnie i będziecie mogli swobodnie biegać po dworze a Cześć znacznie wkrótce kopać i sadzić w swoim ogródku.

Musisz uczyć się pilnie 8-letnia **Krakowianko**, widzę to z twego listu bardzo porządnie napisanego i z zamiłowania do czytania, o którym wspominasz. Wiele twoich rówieśniczek, woli figle płatać niż siedzieć przy książce, a przecież wszystko da się pogodzić; przedewszystkiem lekcje, potem spacer, lub zabawy i gry wymagające ruchu, a na odpoczynek ciekawa powiastka z „Wieczorów” i dzień zbiegnie tak prędko, że choć o jedną godzinę przedłużyłoby go się chciało, nieprawdaż?

Bądź cierpliwa **Niezapominajko**, o przygodach Stefka, z każdego numeru „Wieczorów” dowiadywać się będziemy coś

nowego. O dalszych losach zesłorocznego Paniczyka dowiesz się zapewne latem.

Ani jednej zmyłki nie znalazłam w twoim liście **Złota Rybko z Wołgi**, więc nic ci nie mam do wybaczenia, lecz przeciwnie do pochwały. Ofiarę na przytułek twej Patronki złożyłam w redakcji. Zimno wam być musi moje rybki w Woldze, bo tam duże mrozy, a u nas nawet rzeki nie zamrzły. A może ty teraz pluskasz się w falach innej rzeki — nic nie wiem, bo mi nie donosiłaś, gdzie przebywasz?

Lilii ze Żmudzi. Numer, o który prosiłaś, już wysłano. Kuzyneczki twoje pisały do mnie, pod pseudonymami, ale odzywają się rzadko, za co ich pochwalić nie mogę. Marek nie zbieram sama.

Z pierwszych listów **Zosi Wasil. Sroczi** z Płocka i **Jadzi N.** wpisuję imiona na listę mych stałych korespondentek. Ofiara **Zosi** z jej własnych drobnych oszczędności o całego rubla powiększyła składki na przytułek św. Zofii. **Sroczi** w n. 1-ym „Wieczorów” znajdzie kilka tytułów zajmujących książek, które redakcja prenumeratorom swoim odstępuje po cenie niższej. **Jadzi** o książkach odpiszę za tydzień.

Czy wydawałam ci się zbyt straszną i surową, iż przez sześć lat nie miałaś odwagi napisać do mnie? Ej **Fafo**, a może to tylko leniuszek do listów stał na przeszkodzie. Babuni twej zawdzięczam, żeś się zdobyła nareszcie obdarzyć mnie swem miłym i zajmującym piśmem. O, dobre są te babunie, ale zdaje mi się, że twoja myli się co do osoby **Jaskółki** i bierze mnie za kogo innego. O **Wańdzi** słyszałam niedawno od jej ciotki, mieszka w Paryżu i tej zimy jako dorastająca panienska była z rodzicami na przyjęciu u prezydenta **Loubet'a** w pałacu elizejskim. Fotografii jej nie mam dotąd sama, choćbym bardzo dostać ją chciała. Ofiary z wdzięcznością zostały przyjęte.

Branca Litewskiej. Dzisiaj ogólnie mało jest osób lubiących pisywać listy, tem więcej cenimy, gdy ktoś to zamiłowanie i ten dar posiada. Widzę, że bardzo czynnie i pracowicie czas ci płynie, w dniu powszednie trudno ci znaleźć chwilę na korespondencje, ale w niedzielę, lub jakie święto zechcesz sobie przypomnieć, że **Jaskółka**, ta z Warszawy, karmi się listami.

Źle mnie sądziłaś **Szarotko**, przypuszczając, że mogę twój list pozostawić bez odpowiedzi. Powinnaś mnie była poznać z tej strony i wiedzieć, że każdy dowód zaufania oceniam, każde przyjazne uczucie wzajemnością odpłacam, tem więcej na każdą odezwę odpowiadam. W jakim klasztorze będziesz w Paryżu? Miałam już nie jedną korespondentkę, która w Paryżu nauki pobierała, dlatego o to zapytuję. Wysyłanie pisma wstrzymujemy czekając dalszych wskazówek.

Długo milczałaś **Trajkotko**, i już zaczynałam przypuszczać żeś zapomniała o mnie, widzę jednak, że zajęcia, a po trochu i zabawy, były ci przeszkodą w pisaniu listów. **P. Margila B.** musiała żartować opisując, jak wyglądam, bo ani ona mnie, ani ja jej nie widziałam nigdy. W redakcji bywam dość często, nie mam jednak stałych godzin zajęć, a korespondentek swych z Warszawy nie znam osobiście. Czy to nie lepiej? Może nie jedna poznawszy mnie, doznałaby rozczerzowania.

Taką samą wymówką zaczynam odpowiedź do ciebie **Wiossenko**, minęło lato i jesień i zima, nie dziw że cicho o wiosni! Lecz królowanie jej bliskie więc i ty jej imienniczka przypomniłaś sobie, że wiosnę witają **Jaskółki**. Bardzo ci dziękuję za udzielone wiadomości, podzielim serdecznie twój smutek po stracie ukochanego dziadunia. Okazały macie zbiór kartek, zebrać 2000 w przeciągu roku to bardzo świetnie. Mam nadzieję, że teraz nie dasz mi czekać długo na list następny, polecam się twjej pamięci.

Irence, Zosi i Mani Mańkowskim najserdeczniej dziękuję za śliczne karty rzymskie, a **Heli i Jankowi D.** za kartę z Liège.

I. Garcz. Czyś dawno widziała swą czcigodną prababkę? Oczekuję od ciebie dłuższego listu.

Wasza *Jaskółka*.